

KONSERWATYSTA

W POSTKONSERWATYWNYM

ŚWIECIE

z posłem Arturem Górskim

rozmawia Grzegorz C. Lepianka



KONSERWATYSTA

W POSTKONSERWATYWNYM ŚWIECIE

z posłem Arturem Górskim rozmawia Grzegorz C. Lepianka

© Copyright by Grzegorz C. Lepianka 2010

ISBN 978-83-61184-92-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2010

Zamiast wstępu

Panie Marszałku! Wysoki Sejmie! 4 listopada Amerykanie wybrali 44 prezydenta USA. Został nim kandydat Partii Demokratycznej 47-letni senator Barack Hussein Obama. Gdy biedne, czarne przedmieścia wielkich amerykańskich miast zawyły z radości, gdy przeważnie lewicowo-liberalni studenci zatańczyli w korowodzie zwycięstwa, konserwatywna, tradycyjna Ameryka przeżyła szok i rozczarowanie. Jej prezydentem, głową największego na świecie mocarstwa został kumpel lewackiego terrorysty Williama Ayersa, polityk uważany przez republikańską prawicę za czarnoskórego kryptokomunistę. Wynik amerykańskich wyborów jest, jak powiedział jeden ze zwolenników Obamy, zwycięstwem zza grobu, po wielu latach, Martina Luthera Kinga, który jest dla Obamy idolem.

Jakie Obama ma poglądy na gospodarkę? W trakcie kampanii wyborczej kandydat demokratów złożył wiele populistycznych obietnic, kierowanych głównie do niezamożnej części amerykańskiego społeczeństwa. Niczym Robin Hood zapowiedział, że zabierze bogatym i rozda biednym. Ma zamiar zmniejszyć podatki najbiedniejszym, a podnieść więcej zarabiającym. W pierwszej kolejności chce zwiększyć z 33 do 36% podatki obywateli, którzy zarabiają powyżej 250 tys. dolarów rocznie. W USA stanowią oni około 5% podatników i są finansową elitą państwa.

Nieco później ma zamiar wycisnąć więcej pieniędzy także z szeroko rozumianej klasy średniej i z tych, co inwestują na giełdzie. Tak pozyskane pieniądze zostaną przeznaczone na opiekę społeczną, a także zasilać specjalny fundusz, z którego będą finansowane roboty publiczne. Przy tych robotach mają znaleźć zatrudnienie bezrobotni mieszkańcy ubogich przedmieść amerykańskich miast. Ma to spowodować włączenie do społeczeństwa grup, które dziś są uważane za wykluczone, przede wszystkim ubogich Afroamerykanów.

Nowy prezydent w trakcie kampanii mówił otwarcie, że pragnie wprowadzić model państwa opiekuńczego, które opiera się na większej obecności administracji rządowej w życiu obywateli. Zatem w kwestiach gospodarczych Obama jest socjalistą. Jakie Obama ma poglądy na politykę zagraniczną? Na początku kampanii zapowiedział, że szybko wycofa wszystkie wojska amerykańskie z Iraku, jednak w trakcie kampanii zweryfikował swój pogląd i obiecał zmniejszenie o 50% stanu wojsk przebywających w tym kraju. Tak czy inaczej al Kaida już zaciera ręce z radości, że nowy prezydent wybiera pokój, a nie wojnę. Obama mówił także, że będzie chciał rozmawiać z każdym światowym przywódcą. Wymienił m.in. takich polityków, jak prezydent Iranu Mo-

ammed Ahmadineżad czy prezydent komunistycznej Kuby Raul Castro. Nie ma się co dziwić tym deklaracjom, skoro, jak sam przyznaje, został ukształtowany przez Franka Marshalla Davisa, poetę i dziennikarza, ale także członka Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych. Obama mówił również o potrzebie zmniejszenia wydatków na utrzymywanie wojsk USA w Niemczech i weryfikacji budżetu NATO.

Nie wypowiedział się jednoznacznie w sprawie budowy tarczy antyrakietowej w Europie. Zatem w kwestiach polityki zagranicznej Obama jest pacyfistą i – jak określili go republikanie – naiwnym mięczakiem. Jakie Obama ma poglądy w sferze światopoglądowej? Choć jego ojciec i ojczym byli muzułmanami, Obama obecnie jest zaangażowany w życie Zjednoczonego Kościoła Chrystusa, wyznającego czarną teologię wyzwolenia. Jeszcze w okresie rywalizacji z Hillary Clinton o nominację do wyborów stwierdził, że ma światopogląd otwarty. W ramach tego światopoglądu odrzuca chrześcijańskie nauczanie moralne w kwestii homoseksualizmu i aborcji, nie potępia palenia marihuany, a nawet zażywania kokainy, co niewątpliwie podobało się wielu młodym wyborcom.

Natomiast podczas jednego ze spotkań przedwyborczych wyraził pogląd, że mieszkańcy małych amerykańskich miasteczek dlatego kurczowo trzymają się swojej wiary, ponieważ są rozgoryczeni faktem, że dłuższy czas nie mogą znaleźć pracy. Zatem w sferze światopoglądowej, w kwestiach moralnych Obama jest skrajnie liberalny. Barack Hussein Obama swój sukces zawdzięcza osobistemu urokowi i w znacznej mierze liberalnym mediom, które wśród młodego pokolenia Amerykanów wykreowały modę na obamizm, jak w Polsce na Platformę Obywatelską i Donalda Tuska. Drugi twardy filar jego zwycięstwa to mieszkańcy biednych, czarnych przedmieść, których uwiódł zapowiedzią zbudowania nowego, wspaniałego świata, gdzie wszyscy ludzie będą wolni, zamożni i szczęśliwi. Po raz pierwszy czarnoskórzy obywatele USA tak tłumnie ruszyli do urn. Tym samym Obama stał się ich zakładnikiem. W gabinecie senatora Obamy wisiały cztery podobizny: Thurgooda Marshalla, pierwszego czarnego sędziego Sądu Najwyższego, Muhammada Ali, czarnoskórego mistrza boksu, Mahatmy Gandhiego, wielkiego orędownika pokoju, i prezydenta Abrahama Lincolna, który zgniótł konserwatywne południe i zniósł w Ameryce niewolnictwo. Teraz, głosami swoich wyborców, Obama, czarny mesjasz nowej lewicy, zgniótł kandydata republikanów Johna McCaina. Już niedługo Ameryka zapłaci wysoką cenę za ten grymas demokracji. Jak powiedział mój klubowy kolega poseł Stanisław Pięta, Obama to nadchodząca katastrofa, to koniec cywilizacji białego człowieka.

Oby się mylił. Dziękuję.

Oświadczenie poselskie pos. Artur Górski

Rozdział I: Obamomania

Cofnijmy się do 5 listopada 2008 roku, trwa właśnie 28. posiedzenie Sejmu. Marszałek Szmajdziński zaprasza pana na mównicę sejmową, za chwile wygłosi pan słynne oświadczenie o czterdziestym czwartym prezydencie Stanów Zjednoczonych. Jak ocenia Pan ten moment z dzisiejszej perspektywy?

To było ważne, choć faktycznie bardzo kontrowersyjne oświadczenie. Wszak dotyczyło ono prezydenta-elekta największego mocarstwa na świecie, sojusznika Polski. Jednak uznałem wówczas za mój obowiązek, aby powiedzieć prawdę o lewicowych poglądach nowego prezydenta USA i zagrożeniach dla Ameryki i świata, wynikających z jego wyboru. Miałem odwagę głośno, publicznie powiedzieć to, co wiele osób wówczas myślało, a dziś myśli coraz więcej. Nie ukrywam, że przeżyłem wtedy ciężkie chwile, atakowany i z lewa i z prawa, krytykowany m.in. przez Marka Jurka, który powiedział publicznie, że gdybym był w jego partii, natychmiast by mnie z niej wyrzucił. Na szczęście otrzymałem wówczas wiele głosów poparcia od moich wyborców, co bardzo podtrzymało mnie na duchu. Na szczęście też Jarosław Kaczyński wie, jakie zagrożenie niesie ze sobą tzw. poprawność polityczna, dlatego stanął w mojej obronie. Prezes Kaczyński mógł atak na mnie, a przecież okrzyknięto mnie czołowym rasistą, wykorzystać do eliminacji mojej osoby ze swego ugrupowania i polityki. On jednak twardo za mną stanął. Po wielu miesiącach od tamtego oświadczenia miałem satysfakcję, gdy publicysta Rafał Ziemkiewicz w jednym ze swoich programów telewizyjnych przyznał, że jednak miałem dużo racji.

Biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się później, to w jaki sposób media potraktowały to oświadczenie, czy dziś ponownie by je Pan wygłosił w takiej formie, jak wtedy?

Przyznaję, że nie spodziewałem się aż takiej nagonki. Choć tezy oświadczenia przeważnie były już wcześniej publikowane i miałem podkładkę na niemal każde słowo, co musiała przyznać nawet prokuratura, po pierwszych reakcjach wiedziałem, że będę politycznie zlinczowany. Wyrwano pojedyncze słowa i cytaty z mojego oświadczenia i nadano im treść i intencję zupełnie inną, niż ja im nadałem. Niewątpliwie słowa odnoszące się do koloru skóry Baracka Obamy dały asumpt do ataku na nie. Wiedząc, jaką burzę wywołały, zapewne z kilku z nich zrezygnowałbym dzisiaj. Zupełnie niepotrzebne było za-

cytowanie słów posła Stanisława Pięty, o upadku cywilizacji białego człowieka. Jednak wówczas przywołałem te słowa, gdyż odzwierciedlały one atmosferę, która panowała wśród zawiedzonych wyborców republikańskich, tych najbardziej konserwatywnych, po przegranych wyborach. W każdym razie nie jest prawdą, że tym oświadczeniem chciałem zaistnieć w mediach i zrobić sobie reklamę. Wolę reklamę pozytywną od negatywnej, choć pamiętam słowa, że nie ważne, jak o tobie pisza, byle pisali. W każdym razie oskarżenie mnie o rasizm było absurdem.

„Pominięto istotę oświadczenia, w którym prezentowałem poglądy prezydenta – elekta Baracka Obamy, a skoncentrowano się na kilku wyjętych z kontekstu sformułowaniach” – to fragment z pańskiego pisma do marszałka Sejmu. Pamięta Pan w tej chwili, która redakcja jako pierwsza podała informację nt. oświadczenia?

Informacja pojawiła się w mediach elektronicznych, ale nie pamiętam, kto podał jako pierwszy newsa o moim oświadczeniu. Wiem tylko, że jeden z dziennikarzy jeszcze długo szczyił się w środowiskach dziennikarskich, że to on pierwszy wykrył moją „rasistowską wypowiedź” o Baracku Obamie. Jedno jest pewne, od czasu tamtego sławnego wystąpienia sejmowego dziennikarze uważnie śledzą moje oświadczenia, a nawet pytają wcześniej, na jaki temat będę mówił. Później jeszcze kilkakrotnie odwoływano się w mediach do moich różnych oświadczeń, szczególnie ostro atakując mnie za uwagi krytyczne wobec gejów. W jednym z tygodników zostałem nawet okrzyknięty „mistrzem oświadczeń”. Nie ma wątpliwości, że spopularyzowałem tę mało znaną i wcześniej nie dostrzegalną formę wypowiedzi posłów. Ostatnio mniej wygłaszam oświadczeń, średnio jedno w miesiącu, ponieważ koncentruję się na pisaniu książki o Podolakach, a przede wszystkim na rodzinie.

Kto był tym dziennikarzem, który przypisywał sobie pierwszeństwo wykrycia oświadczenia?

Nie znam tego dziennikarza. Wiele młodych sępów dziennikarskich krąży po Sejmie i szuka sensacji. Zresztą sami o swojej pracy mówią, że polują. Polują na tematy i na polityków, czasem na lapsusy językowe tych ostatnich.

No i rzuciły się na Pana te sępy.

Byłem wyśmienitą ofiarą. Mieli nadzieję, że mnie zadziobią na śmierć polityczną. W pewnej chwili, gdy skrytykował moją wypowiedź prezydent Lech Kaczyński, sam myślałem, że to już koniec, że zostanę usunięty z szeregów

Prawa i Sprawiedliwości. Ale paradoksalnie dziennikarze przysłużyli mi się. Wiele osób zaczęło pisać słowa poparcia i otuchy, w listach i w mailach. Dzwonili do biura, by wyrazić swoją solidarność z moją odwagą, że „czerwone czarne” nazwałem „czerwonym czarnym”. W efekcie całego zamieszania medialnego, jak mówiono, stałem się obok Kaczyńskich najbardziej rozpoznawanym na świecie posłem PiS. Nie wiem, czy to jakaś pociecha. Nie chciałbym być posłem znanym tylko z wypowiedzi o Baracku Obamie, nawet jeśli historia przyzna mi rację. Jednak nie ulega wątpliwości, że stałem się posłem kontrowersyjnym, choć nie dla wszystkich. Pamiętam, miałem taką sytuację, że niebawem po tym wydarzeniu przysłała do mnie pewna osoba pochodzenia żydowskiego, która starała się o odzyskanie mienia przedwojennego. Wyraziłem zdziwienie, że przychodzi do posła okrzykniętego rasistą. I wie pan, jak odpowiedziała? „Być może była to wypowiedź rasistowska, ale na pewno nie antysemitka”. Chyba Żydzi też nie kochają Obamy...

Jak ocenia pan reakcje polityków z pańskiego środowiska? Chciano Pana przegonić z PiS-u?

Działo się wszystko bardzo szybko. Były telefony z poparciem od kilku kolegów posłów, którzy przekonywali, że co mnie nie zabije, to mnie wzmocni. I złośliwe, pełne satysfakcji spojrzenia „antykolegów”. Jestem pewien, że byli tacy, którzy już ręce zacierali, szczególnie niektórzy działacze PiS z Warszawy. Po słowach prezesa Kaczyńskiego, który publicznie zbagatelizował moją wypowiedź, krytycy zamilkli. Uznano w kierownictwie PiS, że to oświadczenie, to nie tylko mój problem, ale problem całego Klubu. A zatem trzeba tak prowadzić obronę w mediach, aby mnie ocalić, a partia poniosła jak najmniejsze straty. Przyjęto moją propozycję, że przeproszę tych, którzy poczuli się dotknięci moją wypowiedzią, ale z samej wypowiedzi się nie wycofam, bo została ona przez media zmanipulowana. Czasem trzeba zdobyć się na odrobinę pokory i wycofać na pozycje defensywne, gdy gra się w zespole.

A jak z dzisiejszej perspektywy ocenia Pan to, co wtedy powiedział Marek Jurek?

Myślę, że to była jego swoista zemsta za to, że nie przeszedłem do Prawicy RP w trakcie rozłamu, choć byłem przez Marszałka i media zaliczany do tzw. pewniaków. A ja po prostu przeczuwałem, jak skończy się ten rozłam i mówiłem to otwarcie Jurkowi. Prawica RP to był świetny pomysł na partię prawicowo-konserwatywną, ale zdecydowanie przedwczesny. Został spalony, bo PiS wówczas był wysoko notowany w sondażach, a i dziś ma zdecydowane poparcie większości prawicowego elektoratu. Miejsce na nową partię prawicową na scenie politycznej może pojawić się wtedy, gdy nastąpi dekompozy-

cja obecnego układu partyjnego. Po kolejnych przegranych wyborach może rozpaść się PiS lub PO. Ale Marek Jurek podszedł do całej sprawy bardzo emocjonalnie i zarazem honorowo. Jak widać, choć bardzo cenię Marszałka, za jego postawę moralną i poglądy, zdaje się, że nie ma on kwalifikacji na przywódcę politycznego. W każdym razie ówczesnym atakiem na mnie, gdy liczyłem na wsparcie właśnie integralnej prawicy, bardzo osłabił mój zapal do popierania potencjalnej koalicji PiS – Prawica RP. A dziś partia Jurka bez PiS jest skazana na marginalizację, podobnie zresztą, jak inne niszowe partie prawicowe.

To musiały być dla Pana trudne momenty?

Nie mam zamiaru się nad sobą roztkliwiać. Proszę o kolejne pytanie.

A jak zareagowali Pana bliscy, rodzina?

Żona bardzo przeżyła całą sytuację, do dziś wypomina mi to wystąpienie sejmowe. Zanim afera wybuchła, dałem jej przeczytać moje oświadczenie o Obamie. Od razu wiedziała, że będą kłopoty. Okazała się bardziej przenikliwa w tej sprawie niż ja. Przez cały czas ataku na mnie czułem jej wsparcie. Reszta rodziny nie bardzo wiedziała, o co chodzi w całej aferze, ale była przeżona. Myśleli, że to koniec mojej kariery politycznej. Odetchnęli z ulgą, gdy Jarosław Kaczyński stanął w mojej obronie. Mnie sprawa zahartowała. Mam nadzieję, że jeśli w przyszłości media znów bezwzględnie mnie zaatakują, moi bliscy potraktują to jako zwyczajne ryzyko działalności publicznej.

Interesuje mnie rola jaką w całej sprawie odegrał Jarosław Kaczyński. Zachował się krańcowo inaczej, niż wspomniany przez pana lider Prawicy RP.

Prezes Kaczyński zbagatelizował sprawę z kilku powodów. Wiedział, że jeśli wpisze się w nurt potępińczy, będzie musiał wyciągnąć wobec mnie konsekwencje. Ale to by pokazało, że niczym się nie różni od lewicowych polityków i liberalnych mediów. No i naraziłoby go to na punkty ujemne w środowisku Radia Maryja, na co nie może sobie pozwolić. Pamiętajmy, że w mojej obronie stanęły media Ojca Tadeusza Rydzyka, najpierw „Nasz Dziennik”, który jako jedyny opublikował całe moje oświadczenie, a potem Radio Maryja. Zatem potępienie mojej osoby byłoby niepolityczne z punktu widzenia interesów Prawa i Sprawiedliwości. Co nie zmienia faktu, że później w rozmowie ze mną to oświadczenie określił jako „poważny błąd polityczny”, choć generalnie zgadzał się z moją opinią. Jednak kierował się również swoją autentyczną nie-

chęcią do dyktatury poprawności politycznej, której sam doświadczył. Prezes Kaczyński wiedział, że jeśli media w ataku na mnie odniosą sukces, to znaczy zostaną skutecznie „rozjechany”, to tę metodę będą stosowały z jeszcze większym natężeniem wobec innych polityków PiS. Stając w mojej obronie pokazał, że nie tędy droga, że jest nieprzemakalny i nie pozwoli, aby media narzucały mu takie postępowanie pod płaszczykiem dbałości o poprawność polityczną.

O co właściwie chodziło w tym oświadczeniu, co chciał Pan w nim przekazać?

Chciałem pokazać poglądy Obamy na podstawowe kwestie polityki zagranicznej i wewnętrznej z konserwatywnego punktu widzenia. To był punkt widzenia amerykańskich republikanów, ale i mój własny. Byłem zniesmaczony tym dość powszechnym zachwytem nad Obamą, tym jego uwielbieniem przez nasze postępowe elity. Dlatego pokazałem nie tylko jego lewicowe poglądy, ale i ich komunistyczne źródła oraz niektóre kompromitujące powiązania osobiste. Widziałem, że jest on produktem marketingowym, bardzo podobnym do wykreowanego przez media Donalda Tuska i irytowało mnie, że tylu Amerykanów dało się uwieść jego gładkim, acz pustym słowom. Uważałem i wciąż uważam, że to był fatalny wybór dla Ameryki i reszty świata. I niestety wiele zjawisk, które obserwujemy, utwierdza mnie w tym przeświadczeniu.

Myślę, że mimo tej przedwczesnej i całkowicie niezasłużonej pokojowej Nagrody Nobla, Obama nie zostanie wybrany na kolejną kadencję. Minęło zaledwie półtora roku jego prezydentury, a sondaże poparcia spadają mu w dużym tempie. Amerykanom, także tym czarnoskórym, którym najwięcej naobiecował, a nic dla nich nie robi, zaczynają otwierać się oczy. Myślę, że w następnych wyborach wahadło poparcia przesunie się na prawą stronę i zwycięży konserwatystka Sarah Palin. Ten coraz popularniejszy republikański polityk nie ukrywa swoich ambicji prezydenckich i myślę, że powstrzyma obecną „obamomanię”.

Obama jest podobny do Donalda Tuska?

Albo Tusk do Obamy. Obaj zapowiadali powszechną szczęśliwość, uprawiają politykę uśmiechu, a tak naprawdę manipulują ludźmi. W swojej obłudzie i bezwzględności są idealnymi politykami demokratycznymi. Spotkałem się z opinią, że Obama nie jest samodzielny, że ulega wpływom tych, którym zawdzięcza nominację i największe pieniądze. Zastanawiam się, na ile samodzielny jest Tusk. Jest on nie tyle bardzo proeuropejski, ile wręcz pronieemiecki i wcale nie mam na myśli jego „dziadka z Wermachtu”. Ciekawe, czy

jest to wyrachowanie, kalkulacja, konieczność czy przypadek? W każdym razie z dziwnie dużą wyrozumiałością spogląda na przyjacielskie relacje rosyjsko-niemieckie, które rykoszetem uderzają w interes Polski. On jakoś tego nie dostrzega, podobnie, jak prezydent Obama nie dostrzega ekspansywnej polityki Rosji, która za wszelką cenę, głównie przy użyciu narzędzi energetycznych, stara się poszerzyć swoją strefę wpływów.

„Jakie Obama ma poglądy na gospodarkę? W trakcie kampanii wyborczej kandydat demokratów złożył wiele populistycznych obietnic, kierowanych głównie do niezamożnej części amerykańskiego społeczeństwa” – to fragment pańskiego oświadczenia poselskiego. Donald Tusk też składał wiele obietnic i niewiele z tego do dziś wynika.

Jeżeli pan to dostrzega, to jest szansa, że i reszta społeczeństwa w końcu także to dostrzeże, obudzi się z marazmu i wysadzi Tuskową ekipę z siodła władzy. Nie będzie to łatwe do przeprowadzenia, bo mamy do czynienia z nie lada cwaniakami i uwodzicielami mas, ale ja wierzę w instynkt samozachowawczy naszego Narodu. Wierzę, że otworzą się ludzkie oczy na fakt, że obecna ekipa rządząca, czołowi politycy PO, pod pięknymi uśmiechami w gruncie rzeczy kryją pogardę dla Polski i Polaków. Dowody? Proszę bardzo. Były minister sportu Mirosław Drzewiecki w swoim rozgoryczeniu po utracie władzy i wpływów mówi otwarcie, że dla niego Polska to „dziki kraj”. A zatem dla niego Polacy to „dzicy ludzie”. Czyż to nie są słowa pogardy ze strony polityka, którego już zmęczyło uśmiechanie się do ludzi i który wreszcie może sobie pozwolić na szczerłość? Podobno minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski w gronie najbliższych współpracowników także zdejmuje maskę i mówi otwarcie, co myśli o Polsce i Polakach. Jak powiedział jeden z jego byłych bliskich współpracowników, Sikorski jest wulgarny, radykalnie się zmienia, kiedy gasną światła, a kamery przestają pracować. Mówią, że on gardzi ludźmi. Przecież jego dowcip o polskich korzeniach Obamy, którego przodkowie mieli w Afryce zjeść polskich misjonarzy, doskonale to obrazuje. To jest dopiero rasizm, a nie moja krytyczna wypowiedź o poglądach prezydenta USA. Taka jest cała ekipa Tuska z premierem na czele, który uśmiech ma najlepiej wyćwiczony.

To, o czym w gabinetach i kuluarach szeptali inni politycy, opowiadając na przykład dowcipy, Pan z sejmowej mównicy nazwał po imieniu...

Potem jedni mówili, że to był szczyt głupoty, a inni, że odwagi. Ale ostatnio wreszcie dowiedziałem się z portalu internetowego „Gazety Wyborczej”, dlaczego wygłosiłem to oświadczenie.

Mianowicie?

Bo widzi pan, chciałem jakoś pociągnąć sprawę Obamy i do końca nie wiedziałem, jak to zrobić. Najpierw planowałem wygłosić oświadczenie w pierwszą rocznicę jego prezydentury, aby powiedzieć: zobaczcie, czy w wielu kwestiach nie miałem racji? Jednak wiele osób mi odradzało i ostatecznie nie uległem tej pokusie prowokacji. Ale czekałem na pretekst i wreszcie dała mi go amerykańska konserwatystka Sarah Palin, która nie wykluczyła w mediach, że będzie ubiegać się o nominację Partii Republikańskiej w kolejnych wyborach prezydenckich, by pokonać obecnego prezydenta Baracka Obamę. I wygłosiłem oświadczenie, w którym omówiłem bardzo dokładnie, tym razem konserwatywne, poglądy Palin. Portal „Wyborczej” omówił moje oświadczenie i tak je mniej więcej skwitował: „teraz wiadomo, dlaczego tak bardzo nie podobał się Górkowskiemu wybór Amerykanów. Sympatią darzy bowiem Sarah Palin, która w ostatnich wyborach prezydenckich była kandydatką na wiceprezydenta z Partii Republikańskiej. Górkowskiemu marzy się, aby w kolejnych wyborach to ona została prezydentem USA”. Po ponad roku „Wyborcza” odkryła, że krytykowałem Obamę nie z pobudek rasistowskich, tylko ze względu na moje sympatie dla konserwatywnych republikanów jego konkurencji.

To Pana oświadczenie nie wywołało takiej burzy jak tamto.

Ale ponownie wywołało dyskusję w Internecie o Obamie.

Lubi Pan o sobie czytać w Internecie?

Gdy czytam, że „Górski miał rację, bo czarny mesjasz prowadzi Amerykę do upadku i poparcie dla tego hochsztaplera spada na łeb na szyję”, albo gdy ktoś pisze, że „Palin i Górski to prawdziwi ludzie z krwi i kości, a nie łże liberalne chorągiewki”, to mam sporą satysfakcję. Ale gdy widzę, jak jestem przez niektórych internautów obrzucany niewybrednymi wulgaryzmami, to jednak robi się trochę nieswojo.

Rozdział II: Tuskolandia

Którego z polityków Platformy lubi Pan najbardziej i dlaczego nie jest to Janusz Palikot?

Jeśli miałbym w partii konkurencyjnej preferować siły destrukcji i skandalu, to byłby to niewątpliwie Palikot. Jednak poważnie traktując to pytanie muszę stwierdzić, że chyba nie o lubienie tu chodzi, tylko o ewentualny szacunek. Owszem, lubię Jacka Żalka, posła Platformy z Białegostoku, byłego członka Klubu Zachowawczo-Monarchistycznego, który nawet niedawno mówił w Sejmie bardzo pięknie o potrzebie istnienia krzyża w przestrzeni publicznej. Swoją wypowiedź zakończył bardzo trafnym cytatem Edmunda Burke'a, że do triumfu głupoty wystarczy milczenie przyzwoitych ludzi. Ale Jacek prawie się nie wypowiada i jest typową „ręką do podnoszenia”.

Natomiast autentycznie cenię Marka Biernackiego, przewodniczącego Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych. Ten były członek Ruchu Młodej Polski, swego czasu zafascynowany Małgorzatą Thatcher, jest bardzo kompetentnym, skromnym i niezwykle kulturalnym człowiekiem. Wydaje się też przyzwoity, na tyle, na ile można być przyzwoitym w PO. Jest ceniony przez władze swojej partii, ale nie preferowany ze względu na dużą niezależność myślenia. Zaliczany jest do grupy neokonserwatywnej w PO. Oczywiście nie znam go dobrze i wiem, że poseł Antoni Macierewicz jest wobec niego bardzo podejrzliwy. Jednak osobiście żałuję, że nie jest w PiS, bo podobnie jak poseł Żalek bardziej pasuje do naszej partii, niż do cwaniaków z Platformy.

Proponuję abyśmy na chwilę wrócili do Palikota, który stał się pewnym symbolem uprawiania w Polsce polityki. Wygląda na to, że ekscesy w jego wykonaniu podobają się wyborcom, przykuwają medialną uwagę. A w świecie, w którym massmedia pełnią tak ważną rolę, to właśnie skandal i ostry news sprzedają się najlepiej.

Te ekscesy podobają się przede wszystkim liberalnym wyborcom Platformy Obywatelskiej i zapewne wielu z SLD, gdzie powinno być jego miejsce, ale nie wyborcom prawicowym, czy tym bardziej konserwatywnym. Pamiętajmy, że jest on wulgarnym cynikiem, ale „młoda ulica” często postrzega go jako „facetę z jajami”, który potrafi być niezależny i odważnie krytyczny. Ja myślę, że gra on swoją dokładnie skalkulowaną rolę, która nie tylko ma zapewnić mu medialną popularność, bo faktycznie brukowce go uwielbiają i promują, ale

ma on do wykonania konkretne zadanie polityczne, wymierzone w PiS i prezydenta Kaczyńskiego. Jednak wiem, że nawet wielu wyborców Platformy uważa go za „niebezpiecznego błazna” i chętnie pozbyłoby się go z partii. Nie jest to jednak możliwe, ze względu na jego popularność w pewnych kręgach oraz fakt, że Palikot ma i daje kasę. A ci, co mają kasę i potrafią być hojni, w pewnych partiach mogą sobie pozwolić na znacznie więcej. Jak widać Platforma jest taką partią.

PiS jest lepsze?

Na pewno nie jesteśmy partią biznesu i grubość portfela nie decyduje o miejscu na liście wyborczej PiS. Ale gdyby przedsiębiorcy dokładnie przeanalizowali dorobek dwóch lat naszego rządu, doszliby do wniosku, że wprowadziliśmy bardzo korzystne dla nich rozwiązania, których być może nie powstydziliby się formacja konserwatywno-liberalna. Palikot, gdy jako szef Komisji „Przyjazne Państwo” werbalnie broni interesów biznesu, to po wychodzących z komisji projektach ustaw można wnioskować, że broni raczej konkretnych interesów konkretnych biznesmenów. Ale i tak, jako liberał, jest niewiarygodny wobec polityki własnego rządu, który ukrywa podatki. Niby ich oficjalnie nie podnosi, ale jednak tylnymi drzwiami sięga do naszych kieszeni. Przykłady? Od stycznia wzrosła akcyza za olej napędowy, co znacznie podniesie cenę paliwa.

Owszem wasza partia obniżała podatki, ale bez cięcia kosztów i budżetu. Dziś wielu polityków nie wyobraża sobie, że można ograniczać wydatki budżetowe. Doktryna państwa minimum przegrywa na całej linii z państwem opiekuńczym.

To prawda. Można nad tym tylko ubolewać. Ale PiS nie jest partią liberalną, jest partią paternalistyczną. Pamiętajmy, że ludzie starsi, szczególnie Ci wychowani w PRL-u, są przyzwyczajeni do modelu państwa opiekuńczego. Ponadto wciąż, może poza mieszkańcami największych miast, jesteśmy biednym społeczeństwem, a wiele osób jest bezsilnych wobec swego losu i oczekuje wsparcia i opieki. Ponadto państwo funkcjonuje w oparciu o pewne mechanizmy, których nagła zmiana spowodowałaby rewolucję i odwrócenie się większości wyborców. PiS nie mógł pozwolić sobie na rewolucję, wybrał model ewolucyjny, tym bardziej, że nie miał dużej swobody w kreowaniu polityki państwa, krępowany ciągłymi roszczeniami lub pretensjami koalicjantów. Jeśli mówimy o cięciach budżetowych, to zazwyczaj pojawia się generalnie słuszny postulat zmniejszenia administracji. Jednak musimy mieć świadomość, że skala zatrudnienia w administracji publicznej w naszym kraju kształtuje się poniżej wszelkich wskaźników w Europie. Pracownicy admi-

nistracji stanowią zaledwie 3% ogółu zatrudnionych, gdy przykładowo w Japonii to 8%, we Francji, Niemczech czy Kanadzie to aż 15-20%. Nie zmienia to faktu, że należy odchudzać administrację wszędzie tam, gdzie nie będzie to szkodliwe dla wykonywania zadań państwa. Ale pamiętajmy również, że administracja to konkretni ludzie, a ich zwolnienie z pracy będzie dla większości oznaczało autentyczny dramat, szczególnie w sytuacji rosnącego bezrobocia i trudności w znalezieniu pracy. Proszę mi wierzyć, że nie są to łatwe decyzje dla każdego rządu, a dla rządu, który głosi zasady solidaryzmu społecznego, dobra wspólnego i pomocniczości, są szczególnie trudne.

Platforma to ugrupowanie dużego biznesu, oligarchów?

Afery, które wyszły na jaw pokazują, że jest to partia biznesowa. Wiemy już dzisiaj, że różni podejrzani biznesmeni wpłacali pieniądze na tę partię. Wiemy, że lobbowali za różnymi projektami ustaw – tzw. afera hazardowa dokładnie pokazuje ten mechanizm – ale wiemy także, że działacze Platformy Obywatelskiej planowali obławić się na majątku publicznym. Przykład posłanki Beaty Sawickiej, która zapowiadała zrobienie dobrego interesu na prywatyzacji szpitali publicznych, jest tego dobrym przykładem. Moim zdaniem Platforma Obywatelska to partia ludzi, którzy przyszli obławić się na rządzeniu, ale którzy chcą też dać zarobić swoim koleśkom. Przykładem może być budowa za publiczne pieniądze Stadionu Legii, należącego do Koncernu Medialnego ITI, właściciela TVN i TVN24. W tym samym czasie, gdy budowany jest za ogromne pieniądze podatników Stadion Narodowy, cztery kilometry od niego powstaje prywatny stadion, na który prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz z PO przekazała prawie pół miliarda złotych z budżetu Warszawy i to w sytuacji, gdy mieszkańcom stolicy podnosi się opłaty za użytkowanie wieczyste nawet o 200 proc.

Jakim więc cudem notowania Platformy są tak wysokie, a premier ciągle jest przez Polaków bardzo lubiany?

To jest ten cud, który udał się premierowi Tuszkowi... Ale poważnie odpowiadając na to pytanie, trzeba mieć świadomość, że ten rząd jest świetny pijarowsko i działa bardzo ostrożnie. Swoje niewielkie sukcesy pokazuje jako olbrzymie osiągnięcia, a nawet porażki przedstawia jako sukcesy. Robi to tak zgrabnie, że wyborcy, którzy wyłączają myślenie i całkowicie poddają się sugestii mediów, autentycznie wierzą, że jest dobrze i będzie jeszcze lepiej. A jeśli na tym obrazie pojawiają się jakieś rysy, to premier jest zawsze tym, który albo ratuje sytuację, albo gani winnych. Działania rządu są bardzo ostrożne, unika on trudnych reform, a premier jest pokazywany jako arbiter i rozjemca. Nigdy też nie przynosi obywatelom złych wiadomości, same dobre

nowiny, nawet za cenę kłamstwa. Zresztą kłamstwo ma opanowane do perfekcji i kłamie z uśmiechem na ustach, z takim przekonaniem, jakby mówił najbardziej oczywistą prawdę. Paweł Śpiewak, niegdyś polityk PO, zarzuca Tusкови „ubóstwo programowe”. Jest w tym wiele prawdy. Tusk nie ma swojego programu. Głosi to, co ludzie chcą usłyszeć. Jeśli nie utrafi z jakimś pomysłem i jest krytykowany w mediach, albo przez obywateli w badaniu sondażowym, zaraz się z niego wycofuje. Nie chce narażać się na krytykę, unika zbędnego ryzyka, chce się wszystkim podobać. I faktycznie jest lubiany jako polityk mało kontrowersyjny. Ale czy jest ceniony? Moim zdaniem jest zbyt mdły ideowo jako polityk i nazbyt leniwy jako premier, aby być autentycznie cenionym. Dla mnie jest to polityk, który bagatelizuje prawdziwe problemy Polski i nie czuje duszy narodu. On jest bardziej europejski niż polski, jak zresztą znaczna część naszej elity politycznej.

Co to znaczy, że jest bardziej europejski niż polski?

Niektórzy by powiedzieli, że Tusk jest bardziej niemiecki niż polski, gdyż niezwykle liczy się z opinią kanclerz Angeli Merkel i politycznie ją adoruje. Inni powiedzą, że jest bardziej rosyjski niż polski, gdyż prowadzi wobec naszego wschodniego sąsiada politykę „klęczenia na kolanach”. Jeszcze inni zauważą, że jest bardziej żydowski niż polski, gdyż to Żydom w Izraelu obiecał szybki zwrot nieruchomości zagrabionych w czasach PRL, a swoim rodakom jakoś nie chce tego obiecać. Jeśli mówię, że premier Tusk jest bardziej europejski niż polski, to mam na myśli to, że stawia wyżej interes Unii jako całości nad interes Polski. Jest bezkrytyczny wobec Unii i ślepo w nią zapatrzony, całkowicie oddany na usługi europejskim salonom. A przykładem na to, że polski interes narodowo-państwowy jest dla niego drugorzędny, jest choćby to, z jaką determinacją, nawet wbrew realiom ekonomicznym, domagał się wprowadzenia w Polsce jak najszybciej waluty Euro. Donald Tusk kreuje się na polityka europejskiego, a o Polakach pamięta tylko w kontekście zbliżających się wyborów.

Patrząc na sondaże można odnieść wrażenie, że to Polakom całkowicie wystarczy. Polacy chcą Tuska.

Ale widać, że Tusk wcale nie zważa na to, czego, czy raczej kogo chcą Polacy w funkcji głowy państwa. Skoro zdecydował, że nie będzie kandydował na prezydenta Polski, to znaczy, że bardziej zależy mu na realnej władzy premiera. I chyba ma rację, bo zostając prezydentem straciłby władzę polityczną nad Platformą Obywatelską i rządem.

Jaką partią jest Platforma kierowana przez przewodniczącego Tuska?

Dobre pytanie, tylko nie wiadomo, jak na nie odpowiedzieć. Myślę, że sami koledzy z Platformy nie wiedzą. Miała to być partia obywatelska, ale byli jej współzałożyciele Płażyński i Olechowski zgodnie twierdzą, że stała się prywatnym folwarkiem pewnej klikki politycznej, która wywodzi się z Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Jeśli faktycznie PO jest kontynuacją KLD, to znaczy, że jest partią liberalną gospodarczo i światopoglądowo. Ale ani jedno, ani drugie nie jest do końca prawdą. PO nie jest partią liberalną gospodarczo, gdyż nie prowadzi takiej polityki, ale nie jest też partią całkiem liberalną światopoglądowo, skoro jej posłowie dość licznie bronili obecności krzyża w przestrzeni publicznej, razem z posłami PiS i PSL. Myślę, że jest to typowa partia władzy, elastyczna politycznie i giętka programowo, która chce wszystkim zrobić dobrze i nikogo nie zrazić. Ale tak się nie da. Partia, która prowadzi politykę „nijakości”, traci swoją tożsamość ideową. PO nie ma dziś wyraźnej tożsamości ideowej. Jest partią liberalnego centrum.

A jaką partią Platforma może być w niedługim czasie? Media informują, że do PO może przejść Wojciech Olejniczak, niedawny lider SLD, Cimoszewicz właściwie już jest w Platformie. W wyborach do Parlamentu Europejskiego warszawską „jedynką” była Danuta Hübner. Wasi polityczni przeciwnicy wyraźnie orientują się w lewą stronę...

Od dawna wiadomo, że PO ma ciągoty na lewo. Jednak oni bardzo potrzebują lewicy w sensie politycznym. Na dzisiaj, aby zawojować telewizję publiczną, która jako jedyna oparła się ekspansji liberałów. Na jutro, gdy po kolejnych wyborach PSL wypadnie ze sceny politycznej i będą potrzebowali innego koalicjanta, by nie dopuścić PiS do władzy. Tusk mówi wyraźnie: głównym celem PO jest niedopuszczenie Jarosława Kaczyńskiego do rządów. To jest ich program. Aby osiągnąć ten cel, szef PO gotów jest wejść w koalicję nawet z diabłem. Takim diabłem są niewątpliwie na scenie politycznej postkomuniści spod znaku SLD. I nawet jeśli dzisiaj Olejniczak i Cimoszewicz stylizują się na przedstawicieli nowoczesnej socjaldemokracji, to i tak ciągną się za nimi diabelskie, czerwone ogony. Wiadomo, że kolor czerwony jest mocniejszy od pomarańczowego i gdy zleją się oba, zawsze odcień dominujący nadaje barwa czerwona. I taka będzie w przyszłości Platforma Obywatelska.

A jaką partią za kilka lat będzie Prawo i Sprawiedliwość? Biorąc pod uwagę, że polaryzacja sceny politycznej się pogłębi, być może zasadne będzie porównywanie PiS do amerykańskich Republikanów a PO do Demokratów?

Właściwie odpowiedział Pan na swoje pytanie. Dla wielu polityków PiS, chyba także dla Jarosława Kaczyńskiego, amerykańscy republikanie to wzorzec wielonurtowej formacji politycznej o proveniencji neokonserwatywnej, zdolnej wygrywać wybory. Oczywiście polska tradycja polityczna jest inna, niż tradycja amerykańska i trudno o dokładne analogie, w tym programowe, ale nie ma wątpliwości, że w amerykańskich wyborach politycy PiS zawsze popierają republikanów. Trzeba jednak przyznać, że na drodze do takiej formacji nieco się cofnęliśmy. Wyjście Marka Jurka z kilkoma posłami, potem grupy Kazimierza Ujazdowskiego, a na koniec posłów związanych z Marcinem Libickim spowodowało osłabienie nurtu konserwatywnego w PiS. Mam jednak nadzieję, że nastąpi jeszcze konsolidacja różnych środowisk konserwatywnych i narodowych wokół PiS, bo prezes Kaczyński ma świadomość, że bez tego nie da się wygrać wyborów i rządzić państwem. Jeśli do tego faktycznie politycy PO podadzą sobie rękę z Cimoszewiczem i Olejniczakiem, podział na „polskich republikanów” spod znaku PiS i „polskich demokratów” pod sztandarem PO stanie się faktem na wiele lat.

A Donald Tusk i Jarosław Kaczyński przejdą do historii jako liderzy polityczni, którzy ustabilizowali system partyjny?

To przepisy prawa, a także silne przywiązanie wyborców do głównych graczy sceny politycznej są głównymi czynnikami stabilizacji systemu partyjnego. Niewątpliwie Jarosław Kaczyński dla wyborców PiS jest takim samym autorytetem i mężem stanu, jak Donald Tusk dla wyborców PO. Uważam, że lider PiS jest wybitnym politykiem i swoistym spoiwem partii, ale także takim spoiwem dla PO jest Tusk. Obydwaj Panowie, ale także pozostali politycy i działacze tych partii doskonale zdają sobie z tego sprawę. Przecież Tusk zrezygnował z kandydowania na Prezydenta RP właśnie w obawie, że gdy go zabraknie jako tego zwornika, to pozostali liderzy PO w walce o schedę po nim wzajemnie się zagryzą, co doprowadzi do destabilizacji w partii, a może nawet do jej rozpadu. Podobnie gdyby zabrakło Kaczyńskiego na czele PiS, przyszłość mojej partii stałaby pod znakiem zapytania. W tym sensie obydwoj panowie stabilizują swoje partie, co nie zmienia faktu, że autorytatywne, a nawet apodyktyczne przywództwo może uwierać niektórych polityków z dalszych rzędów. Silna, scentralizowana władza w partii wytwarza duże ciśnienie i niektórzy tego ciśnienia mogą nie wytrzymać. Stąd odejścia niektórych posłów. Alternatywą jest całkowita demokratyzacja wewnątrz partii, ale rozluźnienie wewnętrznych stosunków grozi zmniejszeniem skuteczności politycznej. Działalność partii przypomina armię w ataku. W obu przypadkach przywództwo musi być zwarte, sprawne i zdecydowane, a odpowiedzialność za podejmowane decyzje spersonalizowana.

Co sprawia, że to Donald Tusk a nie Jarosław Kaczyński jest wyrazicielem głosu - jak to określił Łysiak „różowego salonu”?

Donald Tusk jest wytworem, można powiedzieć – dzieckiem „różowego salonu”, a Jarosław Kaczyński go demaskuje i zwalcza, i to czasem w sposób brutalny. Może to zabrzmieć dziwnie, a nawet paradoksalnie, ale Tusk mimo rozchełstanej koszuli jest sztywniakiem; jego uśmiech jest sztuczny. Natomiast Kaczyński pomimo krawata zaciśniętego pod szyją posiada bardzo sarkastyczny humor. Kiedyś poseł Jan Dzierżyczak powiedział, że prezes Kaczyński ma styl Monty Pythona. Zapewne zna pan tych angielskich komików. Czy zatem ktoś, kto demaskuje pajęczę nici „różowego salonu”, może być wyrazicielem jego poglądów?

Ludwik Dorn, były „trzeci bliźniak”, mówi o sobie, że wywodzi się z prawicy KOR-owskiej, podobny albo taki sam rodowód polityczny ma Jarosław Kaczyński.

To jest generalnie problem „pokolenia styropianu”. Ludzie tego pokolenia mentalnie stoją w rozkroku, jedną nogą wciąż w okresie Polski Ludowej, która ukształtowała ich poglądy, gdy nie było alternatywy ani ideowej, ani intelektualnej, ani politycznej, a drugą w wolnej Polsce, o którą przecież walczyli i którą po 1989 r. budowali. Różnica między Kaczyńskim a innymi dawnymi działaczami KOR-u polega na tym, że prezes PiS dostrzega negatywne konsekwencje „okrągłego stołu”. Może trochę późno, ale jednak chce te negatywne konsekwencje wyeliminować. Stąd jego nawoływanie do lustracji i dekomunizacji, stąd cała idea IV Rzeczypospolitej, która ma przerwać nici łączące obecny system z okresem komunizmu i wyeliminować z życia publicznego tych, którzy byli beneficjentami tamtego systemu albo zwyczajnie donosicielami i zdrajcami.

Spory ludzi z „pokolenia styropianu” nie trafiają do ludzi z mojego pokolenia. Teczki, dekomunizacja, lustracja – te pojęcia dla osób, które dorastały już w wolnej Polsce są pewną abstrakcją. Może dlatego młodzi wyborcy wolą głosować na Platformę?

Młodzi wyborcy nie wiedzą, co oznaczała „gruba kreska”. Nie chodzi tylko o to, że komunistycznych aparatczyków i zdrajców narodu polskiego nie pociągnięto do odpowiedzialności, ale o to, że pozostawiono im realny wpływ na życie gospodarcze i częściowo na życie polityczne. Młodzi ludzie mówią: dajcie spokój tym starcom, oni już stoją nad grobem, niech spokojnie wymrą. Problem polega na tym, że ci aparatczycy, którzy byli dyrektorami w różnych

zakładach pracy PRL-u, po sprywatyzowaniu tych zakładów zostali ich prezesami. Z pierwszych sekretarzy obwodowych czy zakładowych komórek partyjnych gładko i bezboleśnie przemienili się w biznesmenów i stali się nowobogacką klasą średnią, śmiejąc się w twarz różnym działaczom antykomunistycznego podziemia, którzy byli biedni w PRL-u i którzy umrą biedni w wolnej Polsce. A czy śmierć tych postkomunistycznych nuworyszy zamknie ten rozdział, jak uważają młodzi ludzie? Nie, bo po nich majątki przejmują ich dzieci, wykształcone na zachodnich uniwersytetach – bo stać ich było na posłanie dzieci do zachodnich szkół – ale posiadający starą mentalność postkomunistyczną i pozostający w powiązaniach tej samej sitwy.

Dziś już nie da się skutecznie przeprowadzić w Polsce dekomunizacji, ale przynajmniej zwróćmy prawowitym właścicielom to, co im się należy. Przynajmniej przeprowadźmy uczciwą reprivatyzację. Przypominam, że jesteśmy jedynym krajem postkomunistycznym, w którym stary układ uniemożliwił zwrot nieruchomości i majątków zabranych w okresie PRL-u. Jeśli młodzi ludzie uświadomią sobie fakt, że w Polsce prawo własności wciąż jest względne, że mamy jak w komunistycznych Chinach dzierżawę wieczystą, a nie wyłącznie własność prywatną, być może zrozumieją, że demontaż pozostałości systemu komunistycznego nie jest kwestią abstrakcyjną, ale wciąż dotyka bardzo wielu Polaków.

Reprivatyzacja i prywatyzacja to terminy z liberalnego programu, przecież Platforma Obywatelska to liberałowie...

PO chce prywatyzować nie dlatego, że uważa to za liberalny dogmat, ale dlatego, że ze względu na kryzys finansów potrzebuje dużo dodatkowych pieniędzy do budżetu. Ale czy chodzi nam o takie prywatyzacje, jak w przypadku sprzedaży stoczni Katarczykom, którzy od samego początku byli niewiarygodni i okazali się niewypłacalni? Albo czy chodzi nam o takie prywatyzacje, jak kiedyś w przypadku przemysłu cukrowego? NIK prześwietlił te prywatyzacje i ocenił je bardzo negatywnie. Zaraz po prywatyzacji gwałtownie pogorszyła się kondycja ekonomiczno-finansowa cukrowni. Wiele z nich zbankrutowało. Podobno była to celowa polityka nowych zagranicznych właścicieli, którzy tak wykańczali swoją polską konkurencję. A prywatyzacja sektora energetycznego? Monopolistę państwowego zastąpiono monopolistą prywatnym ze szkodą dla klientów, którym nowy właściciel podniósł ceny za energię. Lepiej prywatyzować wolniej, ale uczciwie i skutecznie, i w ten sposób, aby to było korzystne dla gospodarki i dla obywateli, a nie dla różnych kolesi, którzy dorabiają się na prywatyzacjach.

A co do reprivatyzacji, to owszem, PO szumnie zapowiadała w kampanii wyborczej reprivatyzację, ale już się z niej wycofała. Cichutko, cichutko zamie-

ciono sprawę pod dywan. Na spotkaniu opłatkowym w Polskim Towarzystwie Ziemiańskim poprosiłem wiceministra skarbu państwa pana Krzysztofa Łaszkiewicza, który ma w kompetencjach kwestie reprivatyzacyjne, aby powiedział zainteresowanym kilka słów na temat szykowanej ustawy reprivatyzacyjnej. I wie pan, co mi powiedział?

Co takiego?

Że w tej sprawie nie ma nic do powiedzenia. Podobno projekt blokuje minister finansów Jacek Rostowski.

Rozdział III: Autorytet władzy

Czy Janusz Palikot to polityk na miarę pierwszej połowy XXI wieku, osoba o wyrazistych, często populistycznych poglądach, celebryta umiejący występować w mediach i posługiwać się nimi do prezentowania własnych pomysłów? Tacy politycy jak Jarosław Kaczyński i Pan to przeszłość, a Palikot to przyszłość polityki?

Ma Pan rację o tyle, że w demokracji trzeba być populistą, a w demokracji medialnej populistą-gwiazdorem. Ale Palikot jest bardziej celebrytą, jak Pan go nazwał tym modnym ostatnio słowem, niż politykiem. Myślę, że jest sztucznie przez media wykreowany. Ja bym tam jego roli politycznej nie przeceniał, choć wiedzę polityczną to on ma. No i wybujałe ambicje. Nie uważam również, że narzucany przez niego styl uprawiania polityki, upowszechni się. Natomiast generalnie styl polityki uprawianej przez liberałów, na których stylizują się politycy PO i neokonserwatystów z PiS jest różny. Nie chodzi tylko o poglądy, ale także, a może przede wszystkim o różną mentalność. Nie bez znaczenia jest także główna baza elektoratu. Pamiętajmy, że liberałów popierają ludzie młodzi, często nieustabilizowani życiowo, przeważnie o poglądach postępowych, zaś – jak pokazują badania prowadzone w zachodniej Europie – przeciętny wyborca partii neokonserwatywnej ma lat 40-50, rodzinę i dzieci, albo jest jeszcze starszy i w swoich poglądach ugruntowany raczej zachowawczo. To oznacza, że nasz elektorat jest bardziej stabilny i będzie bardziej „wierny”, niż elektorat PO, no i proces starzenia się społeczeństwa w jakiejś perspektywie powinien sprzyjać takim formacjom jak PiS. Dlatego niektórzy politycy liberalni chcą, jak to się mówi „uciec do przodu” i proponują obniżenie wieku czynnego prawa wyborczego do lat 16.

Pan też był przez chwilę, gwiazdą mediów, celebrytą, zupełnie jak Palikot, choć przedstawionym w mediach w dużo gorszym kontekście.

No to właśnie nie mogłem być celebrytą, bo celebryta to osoba, którą media kochają, któremu wszystko wolno i któremu media wszystko wybaczą. Celebryta to nie tylko człowiek, z którego media żyją, ale to człowiek, który żyje mediami, w świecie przez media wykreowanym. A ja nie przepadam za mediami, dość obco czuję się przed kamerą. Nie tylko nie jestem człowiekiem mediów, ale jako polityk mentalnie całkowicie nie pasuję do „demokracji medialnej”. A poza tym stawianie mnie w jednym rzędzie z Palikotem jest do-